

Kronika

tygodniowa

Miesiąc maj ma to do siebie, że poświęcony jest miłości i poezji, nie nadaje się zaś w zupełności do prowadzenia polityki. W tym miesiącu tęsknie śpiewają słowiki, a cała przyroda jest tak usposobiona do miłosnych uniesień, że nawet, jak mawiał ongiś ś. p. Onufry Zagłoba „wior do wiora czuje jakiś dziwny afekt“, któremu oprzeć się nie jest w stanie. A chyba przynajmniej, że, jeśli kto, to właśnie pan Zagłoba dobrze znał życie i choć nie gardził ani winem, ani miodem, daleko trzeźwiej zapatrywał się na jego przejawy, niż niejeden z najzgorzalszych współczesnych abstynentów. I kronikarz powiedział też sobie, że nie rezsnuje „majowego“ nastroju polityką, niestety, musi się sprzeniewierzyć swym „świętym“ zasadom, zmusza go bowiem do tego obecna sytuacja, bardzo poważna i naprężona. A uczyni to głównie z tego powodu, aby wykazać, że ciemne na białem, że przecież miał rację, gdy swojego czasu zwracał uwagę, iż sprawa górnośląska nie mało nam jeszcze przysporzy kłopotu.

Słowa jego spełniły się nawet wcześniej, niż się można było spodziewać. Wynika z tego, że kronikarz jest politykiem nie najgorszym, że zaś jest dyplomata, wykazał w poprzedniej kronice, potrafiąc skłonić Weronikę do pozostania przez lato w Krakowie. Argumenty trafnie użyte, potrafiły złamać jej upór, zdecydowała się zrezygnować z wyjazdu, aby pilnować wygasłego domowego ogniska i dobytka, który wprowadził nie przedstawia zbyt wielkiej wartości, w każdym razie nie przedstawiłby w obecnym czasie, gdy „antyki“ taki masą pokup, nie powinien być zostawiony na łaskę losu.

Maj zatem, jak się wyżej rzekło, do prowadzenia polityki się nie nadaje, wybaczą to jednak Czytelnicy, jeśli zważą, że do politykowania w maju zmuszają kronikarza ci, którzy polityką zajmują się zawodowo, więc chyba, tak przynajmniej mówi chłopski rozum, znać się na niej powinni i wiedzieć o tem czy się do niej opłaci zabierać w maju.

Już swojego czasu sparzył się na tem Bismarck, przekonując się, że jego „majowe ustawy“ nie prowadzą do celu, obecnie poszedł w jego ślady polityk nieco mniejszego kalibru pan Stanisław Grabski wybierając się zupełnie niefortunnie na obalenie ks. Sapiehy. Wotum nieufności, które acz zaszczytnie otrzymał z łaski pana Stanisława Grabskiego nasz kierownik polityki zagranicznej, nie było w porę, co stwierdza nawet *Kuryer* nie należący bynajmniej do przyjaciół pana Sapiehy, mający nawet już przygotowanego na jego miejsce swego własnego kandydata.

Czy uda się kronikarzowi „majowe“ politykowanie, to dopiero się pokaże w dalszym ciągu. Nawiasem przecież dodać musi na swoją obronę, że został do tego zmuszony poważną sytuacją, aby, broń Boże, nie poszedł go ktoś o to, że ma zamiar ubiegać się o opróżniony fotel ministerialny, z którego nastąpił ks. Sapieha i że niniejsza kronika jest pewnym rodzajem mowy kandydackiej, mającej nań zwrócić uwagę czynników młarodajnych, poszukujących na gwałt wybitnego polityka i zdolnego dyplomaty. Na wejście do gabinetu Witosa nie reflektują już choćby z tego powodu, że dni jego są policzone, gdyż ludowcy mają zamiar oddać się obecnie całą duszą kampanii przedwyborczej, że zatem pan Witos rozpuści niebawem swych kolegów na zieloną trawę, następcą zaś jego ma już z pewnością upatrzonego kandydata na poszczególne teki. Rozśladac się zaś na fotelu ministerialnym i to tak niewygodnym jak zagraniczny, po to tylko, aby za jakiś tydzień lub dwa być zmuszonym do zrobienia komas lanemu miejscu, chyba się nie opłaci.

Kandydowanie kronikarza podoba się jedynie pani Weronice, która postanowiła w danym wypadku pójść w ślady pani Paderewskiej i towarzyszyć małżonkowi we wszystkich jego podróżach politycznych.

Niestety, skończy się tylko na jej pobożnych życzeniach, kronikarz nie ma bynajmniej zamiaru pohania zdrowej głowy pod ewangelie i naprawiania tych głupstw, które poprzednicy jego porobili.

A tak pięknie ułożył sobie porządek „miesięczny“ na maj. Pierwszy tydzień miały zająć obchody pierwszego, trzeciego i piątego maja, drugi odpust na Ścieś i połączone z nim doroczne wycieczki na miodek „pod Krzyż“, trzeci Zielone Świąta i Bielany, czwarty Boże Ciało, ostatni zaś błę okrętny, urządzony przez redakcję *Kuryera*.

Ani się spodziewał, że w maju trzeba się będzie zabrać do polityki i to polityki „na ciętki kamień“.

Zauważ jednak da narka w jej odmgęty, jako Kra-

kowianin z krwi i kości bodaj kilka słowami wspomnieć musi o Bielanych, gdzie sam wprowadził nie był, miał jednak nieprzymuszoną wolę, aby się tam wybrać i pełną piersią odetchnąć świeżym powietrzem, słuchać śpiewu słowików i gry katarynek, podpatrywać gruchające pary i zebrać w ten sposób materiał do prawdziwej „majowej“ kroniki.

Kraków, jak zresztą corocznie i tego roku wybrał się tłumnie na Bielany, podzielił tam drogą lądową i wodną. Komunikacja powietrzna nie została dotąd zaprowadzona, a to z powodu, aby nie odbiło się to na budżecie miejskim, czerpiącym przeważnie dochody z opłat akcyzowych. Dopóki i w powietrzu nie zostaną zaprowadzone rogatki, o rozwoju komunikacji aeroplanami lub Zepplinami mowy być nie może.

Mimo to znalazł się kronikarz na Bielanych, używszy drogi powietrznej, to jest myśli. Cało jego spoczywało bowiem na wygniecionej kanapie pod rodzinnym dachem, duch zaś błąkał się po Bielanych przypominając sobie dawniejsze, młodsze lata, kiedy to na Srebrnej Górze przeżyło się niejedną barizo miłą chwilę... Ten rodzaj podróży „drogą powietrzną“, ma ponadto i tę dobrą stronę, iż nie nie kosztuje, a chroni od zaziębienia i irytacji, za jedno miejsce bowiem na „farce“ trzeba było zapłacić sto marek, a pocztowy nasz wiejski ludź uważył, że robi wielką łaskę „miejskim ciachom“, wotąc ich, gdy tymczasem oni powinali być na usługach ludu, gdyż Polska jest chłopską, a nie pańską.

Od osób, które nie tylko duchem, ale i ciałem były na Bielanych, dowiaduje się kronikarz, że tegoroczne Zielone Świąta udały się najszczęśliwiej, widział zresztą sam niezliczoną moc Krakowian, wracających z wycieczki w bardzo podnośnym nastroju. Od samochodów, dorożek i farek, umajonych zieloną, aż się trzęsła ulica Zwierzyniecka, co powien czas nadpływały parowce, przywołujące setki wycieczkowców. Większość ich należała do klasy pracującej fizycznie, pracujący unysłowo nie mogli sobie pozwolić na podobny wydatek. Dowód to jasny, że Krakowianom pieniądze nie brak, z drugiej strony świadczy to chłabnie o zastosowaniu się ścisłom do nawoływania Hoovera, który wzywał do oszczędności. Łatwiej wydać choćby nawet i tysiąc marek za dostanie się na Bielany, niż narazić na zniszczenie swe buty, których podszewanie kosztuje kilka tysięcy marek. Patrząc na tych wycieczkowców, doszedł kronikarz do smutnego przeświadczenia, że szeregi „golej demokracji“ przersedzają się gwałtownie, a ewentualna kandydatura jego do Sejmu lub Rady miejskiej z ramienia tegoż stronnictwa spotkać się musi z poważnymi trudnościami. Choć „milionów“ stał omijając Kraków, co drugi jego mieszkaniec, to milioner wojenny.

Czas jednak zabrać się do polityki, której kronikarz boi się, niezem dyabeł święconej wody. Tematem jego uwag będzie oczywiście sprawa górnośląska i stanowisko, jakie wobec niej zajął Lloyd George, znany nasz przyjaciel i obrońca. Już swojego czasu, gdy po nadejściu wiadomości o pierwszych wynikach plebiscytu zbyt głośno radziliśmy się z odwołaniem zwycięstwa, uważał kronikarz te manifestacje co najmniej za przedwczesne i przestrzegał, że dano nam jeszcze z tego powodu może czekać kłopotów. I jak się dziś pokazuje, miał rację. Z angielskiego worka wylało się Niemce w całej swej ohydzie, a Lloyd George, który zawsze występował jako obrońca traktatu wersalskiego, stwierdza po raz nie pierwszy i zapewne nie po raz ostatni, że przyznaje mu na równi z Radklem Sobeisohiem wartość zwykłego światełka papieru.

W mowie swojej, wygłoszonej w Izbie Gmin wyłaził pan Lloyd George na nas cały kabeł pomyli i adowadził, że wiadomości jego historyczne i geograficzne, o ile one dotyczą Górnego Śląska, są bardzo błędne i niedokładne. Prezydent Witos, choć nie kończył studyów akademickich musiał prostować wynurzenia swego angielskiego kolegi, które podyktowało nie przeświadczenie o ich słuszności, lecz interes angielskich przemysłowców i handlarzy, którzy potrafili Lloyda George'a nastroić na swoją nutę. Według zapatrywań kierownika angielskiej polityki, Górnego Śląska chyba przed stworzeniem świata był polski. Leja on przy tej sposobności iły krokodyla nad niewdzięcznością Polaków, którzy Anglii zawdzięczają swą wolność, a sprawili jej ciągłe kłopoty. Czy ma rację, że Anglii zawdzięczamy wolność, nad tem warto się zastanowić poważniej, gdyż równocześnie i nowy kanclerz niemiecki dr. Wirth, złożył zupełnie podobne oświadczenie. Sami nawet nie wiedzieliśmy, że mamy tylni i takich dobrodziejów.

Z mowy Lloyda George'a wynika jasno, że Anglia jest za przyznaniem Niemcom najważniejszych obszarów Górnego Śląska, Polsce zaś radaby rzucić jakiś ochłap, byle jej zamknąć usta. Tak nakazuje interes angielski, a dui on gra pierwszorzdną rolę. Dawniej było w modzie przysłowie „sila przed prawem“, dziś zastąpiło je „interes ponad wszystko“. Niemcy poczy-

li wobec Anglii widocznie korzystnie dla niej zobowiązania, a na to Lloyd George jest bardzo czuły, jak się o tem mieliśmy sposobność przekonać z jego konaszachtów z sowieckim rządem rosyjskim, prowadzonych poza plecami innych członków Koalicji. W dziwnem świetle występują także w sprawie górnośląskiej Włosi, którzy tyle razy ogłaszali się za naszych przyjaciół. Jeśli kto, to oni nie mają chyba powodu do narzekania na nas, a tymczasem postępują wobec nas tak po szelmowsku, jak gdyby tu chodziło o zdeklarowanego ich wroga, jakim do niedawna byli Niemcy. Ale i ta interes wchodzi w drogę. Włosi znali są ze swojego artystycznego umiślenia, którem imponują całemu światu, ale i również ze swojego dła-dowstwa buńczącego ogólnie politowanie. Pięknym głosem, jakim ich matka przyroda obdarzyła, łatwo im wytebrać jakąś jałmatną. Prawdopodobnie i oni otrzymali pewne obietnice i dlatego poszli na ich pasek. Czy wyjdą na tem dobrze, to dopiero przyszłość pokaże. Należy wątpić, gdyż w danym wypadku „trafił frant na franta“. Niemiec lubi obiecywać, nie myśli jednak o dotrzymaniu obietnic, jak to widzieliśmy przy podpisaniu traktatu wersalskiego.

Nitomiast stanowisko Ameryki, która w sprawie górnośląskiej ma podobno zamiar pójść po linii niemieckiej jest trudne do zrozumienia. Ameryka nie potrzebuje się chyba liczyć z obietnicami Niemców i bez ich pomocy da sobie radę, najlepiej zrobiłaby zatem, gdyby w tym wypadku zachowała ścisłą neutralność. Storo rząd Hardinga ogłosił się jako zwolennik doktryny Monroe'a „Ameryka dla Amerykanów“ i postanowił się do niej ściśle stosować, nie powinien też pchać nosa w sprawy europejskie, bo... „Europa dla Europejczyków“.

Z pomiędzy rządów koalicyjnych jedna jedyna Francja oświadczyła się za załatwieniem sprawy górnośląskiej w myśl słuszności i postanowień traktatu wersalskiego, choć nie tak dawno jak czytaliśmy głosy oburzenia w prasie francuskiej, skierowane przeciw niektórym z tamtejszych przemysłowców, objawiających życzenie, aby przy załatwieniu tej sprawy przypadkiem Niemców nie pokrzywdzono. Widocznie znaleźli Niemcy drogę nie tylko może do ich serca, ale raczej do ich kieszeni.

Wobec takiej sytuacji nie pozostawało ludowi górnośląskiemu nic innego jak czynnie stwierdzić, że, wbrew twierdzeniom Lloyda George'a, był polskim i chce nim na zawsze pozostać. To się naturalnie nie mogło podobać panu Lloyd George'owi, gdyż krzyżowało jego plan i kombinację i w tem właśnie leży powód jego oburzenia przeciw Polsce. A Polska, jako państwo, winy żadnej w tem nie ponosi, na wybuch powstania na Górnym Śląsku bynajmniej nie wpływała, było ono samorzutnym odruchem rozpaczy miejscowej ludności. Lubi śląski nie żąda nic więcej prócz słuszności i poszanowania traktatu wersalskiego, a tego mu nawet pan Lloyd George za złe wziąć nie może. Z przybrał stanowczą pozycję i temu się dziwić nie można, bo dał tylko w ten sposób można coś uzyskać, gdy natomiast pokornie proszącego zbywa się zwykle nieczem. Podzielał to już na Lloyd George'a, który zrozumiał, że poszedł za daleko, żałuje, że się przedwcześnie nie potrzebnie wygadał i zaczyna się cofać, tłumacząc, iż go źle zrozumiano, gdyż on nie tak myślał jak mówił. A pod tym względem jest on prawdziwym mistrzem, potrafi „kota obrócić do góry ogonem“ i z czarnego zrobić białe lub odwrotnie, zależnie od tego, jak wymaga interes jego i jego przyjaciół.

Dyplomacja nasza ponosi w tym wypadku pewną wiaę, gdyż nie potrafiła zapobiedz tym machinacjom angielsko-niemieckim, słusznie też minister Sapieha spotkał się z wyrzaczam' nieufności. Kronikarz nie ma bynajmniej zamiaru ubiegać się w tych warunkach o spuchniętą po nim, zwłaszcza, że fotel ministra spraw zagranicznych jest dość niewygodny, jeśli się zwasty, iż oprócz „sprzątny“ niemieckiej dają się wa znaki bolszewicka, czeska, ukraińska itd. Różnej, gdyby go konieczności chciało zrobić ministram, komitetowatby o portfel aprowizacyi lub pracy, które również wakują. A prowizacya w dzisiejszych warunkach ma do zwalczania zbyt wiele trudności, fotel ten nie uśmicha się zatem zbytulo kronikarzowi. Cieszył jednak nie robi kochany mat, aby zadowolić swą lepszą polową. Aby Weronika była ministrową, gotów jest podjąć się nawet wygłoszenia Polski. Ponętniejszym już jest fotel pracy, gdyż u nas panuje tendencja, by nią zbytulo ludności nie przeciątać, zatem i minister pracy nie wiele musi mieć do roboty.

